

LUDZIE KRESÓW: OPOWIEŚCI NIEZNANE

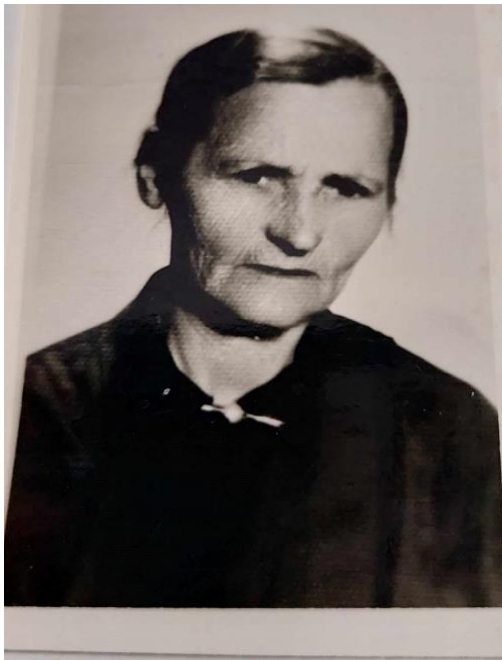
Pradziadek Stasiu.

Albert Stachowiak: Dziadku, czy możesz opowiedzieć mi o swoim życiu?

Stanisław Jackiewicz: Albert..., a więc tak: „urodziłem się 13 kwietnia 1934 roku jako syn Tomasza Jackiewicza i Franciszki zd. Korba w Sokolnikach - powiat Lwów w rodzinie chłopskiej. Mój brat Roman urodził się 27.02.1938r. 9 września 1939r. od bomby hitlerowskiego lotnika zginęła moja siostra Kazimiera, która urodziła się w 1932 roku. Wieś nasza powstała na dobrach hrabiego J.Tarnowskiego w 1396 roku.

A.S.: Co pamiętasz z tamtych czasów?

S.J.: To, co ja pamiętam- nasi mieszkańcy ubierali się w stroje góralskie, bo Tarnowski ich ściągnął razem ze swoją kulturą i obyczajami. We wsi domy były gliniane, pokryte strzechą, a hrabia uwłaszczył mieszkańców. Porozdzielał każdemu po 10 ha, żeby mogli żyć. W 1760 roku powstały dwa kościoły. Jeden po rozbiórce starego. Byłem ochrzczony w kościele Św. Mikołaja. Okupacja bolszewicka rozpoczęła się 17 września 1939 roku i trwała do czerwca 1941 roku. Nastąpiła zmiana okupanta na niemieckiego. W nocy pod koniec sierpnia 1939 roku obudzono mnie. Zebrała się cała rodzina. Był wielki płacz



Mama pradziadka – Franciszka Jackiewicz

i rozpacz, ponieważ tatko szedł na wojnę. Siostra mojej mamy- Regina zapytała mnie, dlaczego ja nie płaczę? Nie wiedziałem, co to znaczy wojna i na zawołanie nie umiałem płakać. Zapamiętałem, że w sierpniu i wrześniu była piękna, słoneczna pogoda. Na początku września 1939 roku przejeżdżało przez naszą wieś wojsko i nasz tatko zatrzymał się chwilę przed naszym domem. Jechał wozem pomalowanym na zielono, ciągnionym przez dwa piękne koniki. Wóz był załadowany zielonymi skrzynkami. Dzisiaj wiem, że to była amunicja. U nas w wiosce kwaterowało dużo wojska. Około

25 m od naszych zabudowań, przy stodole stryja Franciszka, stała artyleria.

Działa miały grube lufy, nie za długie. Obok, na polu było zmagazynowanych dużo zielonych skrzynek (amunicji). 8 września przyleciały niemieckie samoloty. Krążyły nad wojskiem, krążyły i odleciały. W nocy z 8/9 września wojsko wyjechało. 9 września w południe znów przyleciały niemieckie samoloty. Zaczęły krążyć i krążyć. Zebrało się parę osób i podziwiała jak te samoloty latają wkoło. Nagle stryj Franciszek krzyknął: **UCIEKAJCIE - BOMBA LECI!!!** Sam zdążył odskoczyć za murowany narożnik stodoły i to go uratowało. Został przysypany cegłami z tego narożnika. Doznał wielu złamań. Od tej bomby zginęły dwie urodziwe dziewczyny - córki stryja Franciszka. Jedna miała około 18 lat, a druga była młodsza. Zginęła również siostra mojej mamy- Wanda, piękna blondynka z długimi warkoczami. Moja siostra Kazimiera (urodzona w 1932 roku), w 1939 roku miała iść do pierwszej klasy. Po mojej siostrze została zmiażdżona głowa, zwęglone warkocze i wnętrzności. Zginęła również ciężarna kobieta. Jej ciało zostało rozerwane na pół. Górna część ciała została wrzucona do naszej stodoły. Wrota stodoły zostały wyrwane. Na klepisku leżało nienarodzone dziecko i pół jego mamy. Kobieta ta nazywała się Kostka. To, co zdążyłem zapamiętać- zginęła jeszcze jedna zamężna kobieta. Ciała ofiar były zwęglone, bez odzieży, z wyjątkiem ciężarnej i stryja Franciszka. Zapaliły się też trzy stodoły ze zbożem. Ja z bratem Romanem (urodzonym 27.02.1938), w tym czasie przebywałem w murowanej piwnicy, przykrytej ziemią. Popijaliśmy świeżo udojone mleko od krowy. Nasza mama w tym czasie szykowała obiad i wynosiła popiół do śmietnika. Przed bezpośrednim działaniem wybuchu, mamę ochronił nasz budynek inwentarski. Została ona tylko przewrócona i ogłuszona. Ja z bratem również zostaliśmy ogłuszeni. Zrobiło się ciemno i nic nie było widać. W powietrzu unosił się jakiś brązowy pył. Nie mogliśmy złapać powietrza. Dusiliśmy się. W naszym domu nie wyleciały szyby, ponieważ było takie zarządzenie o naklejaniu na szyby pasków papieru na krzyż i wokół ramy. Do pożaru przyjechała ochotnicza straż z ręczną sikawką. Mieli złote hełmy. Niby ugasili pożar, ale po pewnym czasie ogień znów się pojawił. Trzeba było go dogaszać. U nas na wsi był taki zwyczaj, że jak się coś paliło, to kto „żyw” biegł z wiadrem na ratunek, niezależnie od straży pożarnej. Ja również po raz pierwszy brałem udział w dogaszaniu pożaru. W tzw. łańcuchu wodnym odnosiłem puste wiadra do stawu i pobliskiego stawu. To dogaszanie trwało jeszcze ponad tydzień. Do dzisiaj, gdy poczuję zapach spalonej słomy, to przypomina mi się tragedia z 1939 roku.

A.S.: Jak zniosła to babcia Frania?

S.J.: Pamiętam dokładnie, że do mojej mamy nie docierała wiadomość, że córka Kazimiera nie żyje. Brała brata Romana na ręce i nosiła go. Mnie trzymała za szyję i tuliła do siebie. Szukając wkoło, wołała- **KAZIA, KAZIA, KAZIA..** Ten krzyk słyszę do dzisiaj, gdy ktoś zawoła Kazia...

A.S.: Co było dalej?

S.J.: 22 września 1939 roku do Lwowa wkroczyła „hołota spod sierpa i młota”. O bolszewikach ludzie wiedzieli dużo, pamiętali ich z 1932 roku. Zaczęły się nowe „porządki”. Żydzi z naszej wioski wywiesili czerwone flagi, a było ich 3 lub 4 rodziny. Poczuli się „panami” i mówili: **„Będzie lepiej jak za zasranej Polski”.**

Jakby było mało tej rozpacz, to jeszcze nasz tatko nie wracał z wojny. Niektórzy żołnierze dawno już wrócili. Nasz ojciec nie wracał. Gdzieś na początku listopada wrócił. Był tak wyczerpany, że ledwo dowlóknął się do domu. Dostał się do sowieckiej niedoli. Był gnany w dzień i w nocy całą kolumną na wschód. Prawie bez wypoczynku i kiepskim wyżywieniu. Ojciec zauważył, że w nocy podczas drogi, gdy było bardzo ciemno niektórzy żołnierze przewracali się do rowu i on też się przewrócił. Kolumna odeszła. Dopiero wtedy zaczął się problem. Nie odważyli się wstąpić do innej wioski, bo Ukraińcy mordowali naszych żołnierzy. Szli tylko nocą, a w dzień ukrywali się. Jedli niewiele, tylko to, co znaleźli na polu lub jakieś owoce. Wstępowali tylko do tych wiosek, gdzie był kościół rzymsko- katolicki. Bardzo ucieszyliśmy się z powrotu ojca. Ja zapytałem: **„Tatko, a gdzie masz koniki?”** **A on odpowiedział: „Synu! Ciesz się, że udało mi się powrócić. Ruski zabrali wszystko. Nawet łyżkę do jedzenia, a nam zabroniono strzelać do nich.”**



tata pradziadka- Tomasz Jackiewicz

Zacząły się aresztowania, represje oraz kontyngenty. Paru łobuzów z naszej wioski zaczęło współpracować z ruskimi. Jak w 1940 roku zaczęły się wywózki na Sybir, to nie spaliśmy w naszym domu. Chodziliśmy spać do naszej babci Korbiny. Stryjek Wojciech, kuzyn naszego ojca, mieszkał obok nas. Miał większe gospodarstwo. Był uważany za kułaka. On też nie spał w swoim domu, tylko u krewnych. Jakby przyszli go wywieźć na Sybir, a nie byłoby go, wówczas nas by wywieźli. Ważna była ilość do wywiezienia. W czerwcu 1941 roku nastąpiła zmiana okupanta. Przyszli Niemcy. Ruski tak uciekali, że zostawili pełne magazyny wojskowe. Niemcy rozpoczęli nowe „porządki” od mordowania Żydów. Zastrzelili w naszej wiosce rodzinę Millerów, a rodziny Mocia i Ganga wywieźli do getta we Lwowie. Z rodziny Gangów uciekło do lasu dwóch synów-

Dzionaek i Julek. Julek zginął w 1944 roku podczas ostatniej obławy w lesie. Dzionaek natomiast wyjechał po wojnie do krewnych do Ameryki. Z wkroczenia Niemców byli bardzo zadowoleni nacjonałiści ukraińscy. Niemcy im obiecali *samostijnu ukrainu* i masowo wstępowali do SS Galizjen. Rozpoczęły się wywózki Polaków na przymusowe roboty do Niemiec. O tym, kogo mieli wywieźć, decydowali Ukraińcy, szkoleni przed wojną w Niemczech. Wiem, że Niemcy przy współpracy z nacjonalistami ukraińskimi w 1941 roku wymordowali lwowskich profesorów na Wzgórzu Wuleckim.

Jesienią i zimą 1941 roku przemieszczało się wojsko niemieckie. Szli przez naszą wieś na wschód kilka tygodni z różnym sprzętem i uzbrojeniem. Natomiast nie widziałem odwrotu choćby jednego żołnierza. Trzy kilometry od nas w Skniłowie było lotnisko. Startowały z niego niemieckie samoloty różnego typu. Na wschód leciały: myśliwce, dwukadłubowe, czteromotorowe, sześciomotorowe, które zabierały 120 żołnierzy i bombowce. Niektóre z nich gubiły bomby, które spadały na pola naszej wioski i eksplodowały. Wiosną 1942 roku nastał wielki głód. A głód jest wtenczas, gdy nie ma co jeść. I nie było co jeść (...). Ruski w 1941 roku wywieźli wszystko, co się dało. Przyszli Niemcy i też wywieźli, co się dało. Ludzie masowo puchli z głodu i umierali. Nam udało się jakoś przeżyć. Mieliśmy dwie krowy. Mama nosiła nabiał do Lwowa i jakoś przetrwaliśmy przednówek. Były jednak przypadki, że Niemcy odbierali mamie cały nabiał. Jedliśmy też pokrzywy, łobodę, młode wrony, wróble, rybki. Wiosną nie sadziliśmy ziemniaków, tylko łupiny od ziemniaków. W dzień i w nocy pilnowaliśmy tych łupin, bo ze Lwowa przychodzili głodni ludzie i wygrzebywali je. Ze zboża zrywali kłosa.

A.S.: Dziadku, chodziłeś do szkoły?

S.J.: Naukę w szkole podstawowej rozpocząłem w 1942 roku. Pierwszą klasę ukończyłem „za Niemca”, a drugą „za Ruska”. Żyło nam się bardzo ciężko i trudno. Trzeba było oddawać kontygent, a dla nas niewiele zostawało do jedzenia. Nasz ojciec pracował w Skniłowie przy budowie lotniska. Za miesięczną zapłatę kupił mi na gwiazdkę latarkę, tzw. paluszek. Nie wystarczyło już pieniędzy na żarówkę i baterię. Otrzymałem również kartki na zakup 5 bochenków chleba miesięcznie.

A.S.: Co wiesz o Katyniu?

S.J.: O Katyniu dowiedziałem się w 1943 roku. Widziałem zdjęcia w niemieckiej gazecie. Moja mama sprzedawała nabiał we Lwowie w różnych miejscach

i kamienicach. Spotykała się tam z wieloma ludźmi i przynosiła do domu najnowsze wiadomości, co i gdzie się dzieje. Latem 1943 roku wróciła z niedobłą wiadomością, że Polska już przepadła, bo w katastrofie lotniczej zginął gen. Władysław Sikorski. Mówiła, że cały Lwów płacze. Dochodziły do nas niepokojące wieści o nasilających się mordach band ukraińskich na Polakach. U nas we wsi ciągle kwaterowało wojsko. Najpierw polskie, później ruskie, niemieckie i znów ruskie. Bandy ukraińskie nie miały sposobu zaatakowania naszej wsi. Wiosną 1944 roku w Wielkanoc, wczesnie rano (jeszcze było ciemno), przyleciały ruskie samoloty. Oświetliły teren jakimiś racami na spadochronach i było widać jak w dzień. Nasłuchałem się opowiadań o jakichś bombach, których światło zabija. Wpadłem wtedy w panikę. Bardzo krzychałem, bo nie chciałem być zabity przez to światło. Nie chciałem dlatego udać się do murowanej piwnicy pod stodołą stryja Wojciecha- kuzyna taty, który był naszym sąsiadem. Zaciągnięto mnie tam siłą. Za chwilę nastąpił atak bombowy. Najpierw było słychać charakterystyczny, przeraźliwy gwizd, który zapamiętałem z 9 września 1939 roku. Później nastąpił wybuch. Pierwsza bomba spadła na murowaną piwnicę, przykrytą ziemią i darniną u Piwczyny- jakiejś 25 m od tej, w której przebywaliśmy. Nie wybuchła jednak i prawdopodobnie znajduje się tam do dnia dzisiejszego. Następne 3 bomby spadły na pola w oddaleniu jakieś 50 m od zabudowań. W tym jedna znów nie wybuchła, a trzecia była niewielkiego kalibru i lej po wybuchu był nieduży w porównaniu do tej czwartej. Wybuch był potworny. Stodoła zachwiała się i wszystko zaczęło trzeszczeć. Od wybuchu powstał ogromny krater. Był głęboki- około 15 m i miał średnicę około 30 m. W dzień pojawili się tam niemieccy oficerowie i kiwali głowami ze zdziwienia. Poszedłem tam również „diabli mnie tam ponieśli”. Oglądali odłamki i mówili: „USA”. Jeden z nich był ssmanem, w czarnym mundurze. Cofnął się do tyłu i celowo stanął swoimi „buciorami” na moje palce nóg. Stał tak długo, aż skończyli gadanie. Bałem się poruszyć, bo nie wiadomo, jakby to się dla mnie skończyło. Z naszego pola, przy słonecznej pogodzie, przed zachodzącym słońcem było widać Karpaty. Kiedyś zauważyłem czarny dym z tamtego kierunku. Paliły się tam szyby naftowe w Drohobyczu i Borysławiu (po bombardowaniu ruskich samolotów). Ten dym było widać przez pare tygodni. Pamiętam jeszcze, że za stodołami około 50 m, była taka ścieżka dla pieszych przez wszystkie pola, tzw. zagumnie. Latem 1944 roku przyjechali samochodami ssmani i zaczęli kopać okrągłe dołki na tym zagumniu. Były głębokie na 1,7 m. W środku tych dołków wkopywali drewniany pal i mocowali do niego karabin maszynowy. Kręcili karabinem wkoło, jakby do

czegoś celowali. Takie dołki były kopane w odległości jeden od drugiego 100/150 m. Dzisiaj wiem, że te stanowiska ogniowe były przygotowane do pacyfikacji wsi. Nie zdążyli jednak nas wymordować. Zostawili wszystko i uciekli w panice. Nastąpiła kolejna zmiana okupanta. Ruski wdarli się klinem i powiedzieli, że jak nie przyjdzie pomoc to wszyscy zginieemy. Przyszła pomoc. Przyleciał kukuruźnik i strzelał do swoich żołnierzy. Zginęło wielu. Musieli go zestrzelić. Po paru dniach „przyszły” posiłki.

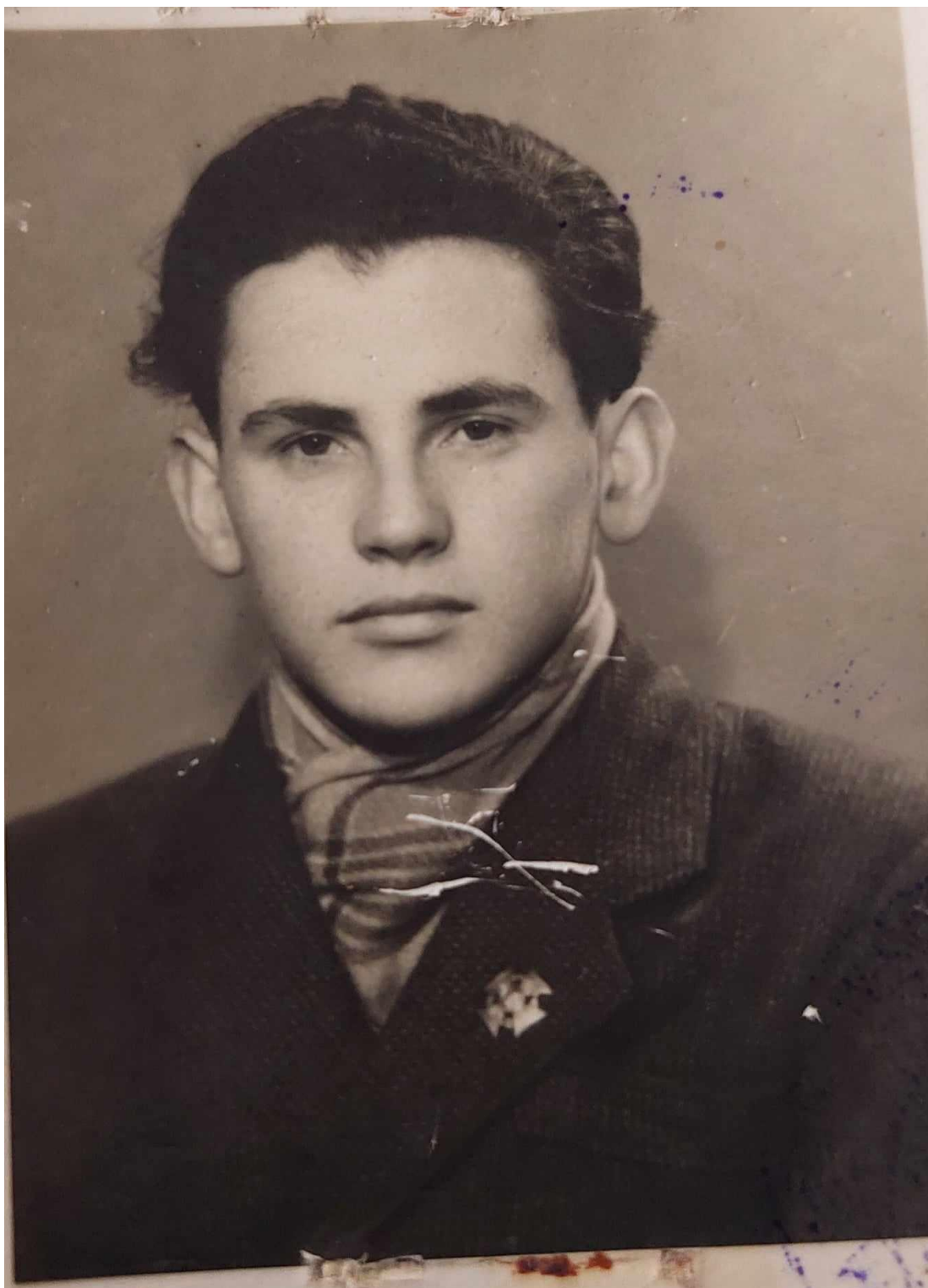
Przez naszą wieś biegła szosa 7 km. Po obydwu jej stronach była zwarta zabudowa (1000 numerów). Było około 5 tyś. mieszkańców.

Doczekaliśmy się po raz drugi bolszewickiego rajy. Ksiądz biskup Wincenty Urban na stronie 14, wiersz 6 w książce „Droga Krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej” pisze o zamordowaniu najbogatszego gospodarza Michała Kowalskiego przez banderowców w 1945 roku w Sokolnikach. Z bratem Romanem uczestniczyliśmy w pogrzebie p. Kowalskiego. Widzieliśmy ślady torturowania na rękach i twarzy. Dowiedzieliśmy się, że w czasie okupacji niemieckiej p. Kowalski ukrywał dwóch Żydów, prawdopodobnie weterynarzy ze Lwowa. Po wkroczeniu ruskich latem w 1944 roku, ulotnili się. Gospodarstwo p. Kowalskich znajdowało się w polu z dala od wioski. Mieszkali samodzielnie. Byli starcami. P. Kowalski miał 72 lata. W nocy 1945 roku przyszło dwóch zamaskowanych bandytów i żądali dolarów i złota. P. Kowalski powiedział, że nie ma, bo rozdał dzieciom. Bandyci bili ich tak długo, aż nie dawali znaków życia. Wrzucili ich ciała do piwnicy w mieszkaniu, a na włącz postawili piec do ogrzewania mieszkania. Całe mieszkanie zostało splądrowane. Rano przyszła córka. i wołała: „Tato, mama”. Z piwnicy było słycać ciche jęki. To mama się odezwała. Pani Kowalska opowiedziała o całej tragedii. Jej mąż też odzyskał przytomność i bardzo prosił o picie. W piwnicy nie było nic do picia. Pani Kowalska starała się zaspokoić pragnienie męża swoją śliną, ale ten był okrutnie skatowany i skonał. Moja mama mówiła, że pan Kowalski był bardzo życzliwy i miał dobre serce. W potrzebie nigdy nikomu nie odmówił pomocy. W ww. książce ks. biskup pisze, że Ukraińcy zamordowali Kowalskiego. Natomiast ja zapamiętałem, że ruski żołnierz strzelił pociskiem *dum dum* w 1945 roku do studenta medycyny, który wczesnym rankiem śpieszył się do Lwowa i nie zatrzymał na wołanie. Pocisk trafił w jego udo i wybuchł. Rana była bardzo głęboka i się nie goiła. Po wielu męczarniach student zmarł. Na początku stycznia 1945 roku do naszej wioski zaczęły się przesiedlenia Ukraińców z okolic Przemyśla. Nasi młodzi

chłopcy urządzili potańcówkę. Bawili się z ukraińskimi dziewczynami. Po niej harmonista i jego kolega nie wrócili do domu. Znaleziono ich po jakimś czasie. Byli bardzo płytko zakopani w ziemi wraz z harmonią. To była sprawka bandytów z UPA.

Przez naszą wieś znów zaczęły się wędrówki na wschód. Tym razem plennych. To byli wojenni Rosjanie. Wracali z niewoli niemieckiej. Dali się nabrać na odezwę Stalina: „**Wracajcie do domu, czekają na was rodziny i ojczyzna was potrzebuje**”. Oficerowie, którzy ich eskortowali mówili, że to są zdrajcy. Zostaną skierowani do łagrów i tam ich wykończą.

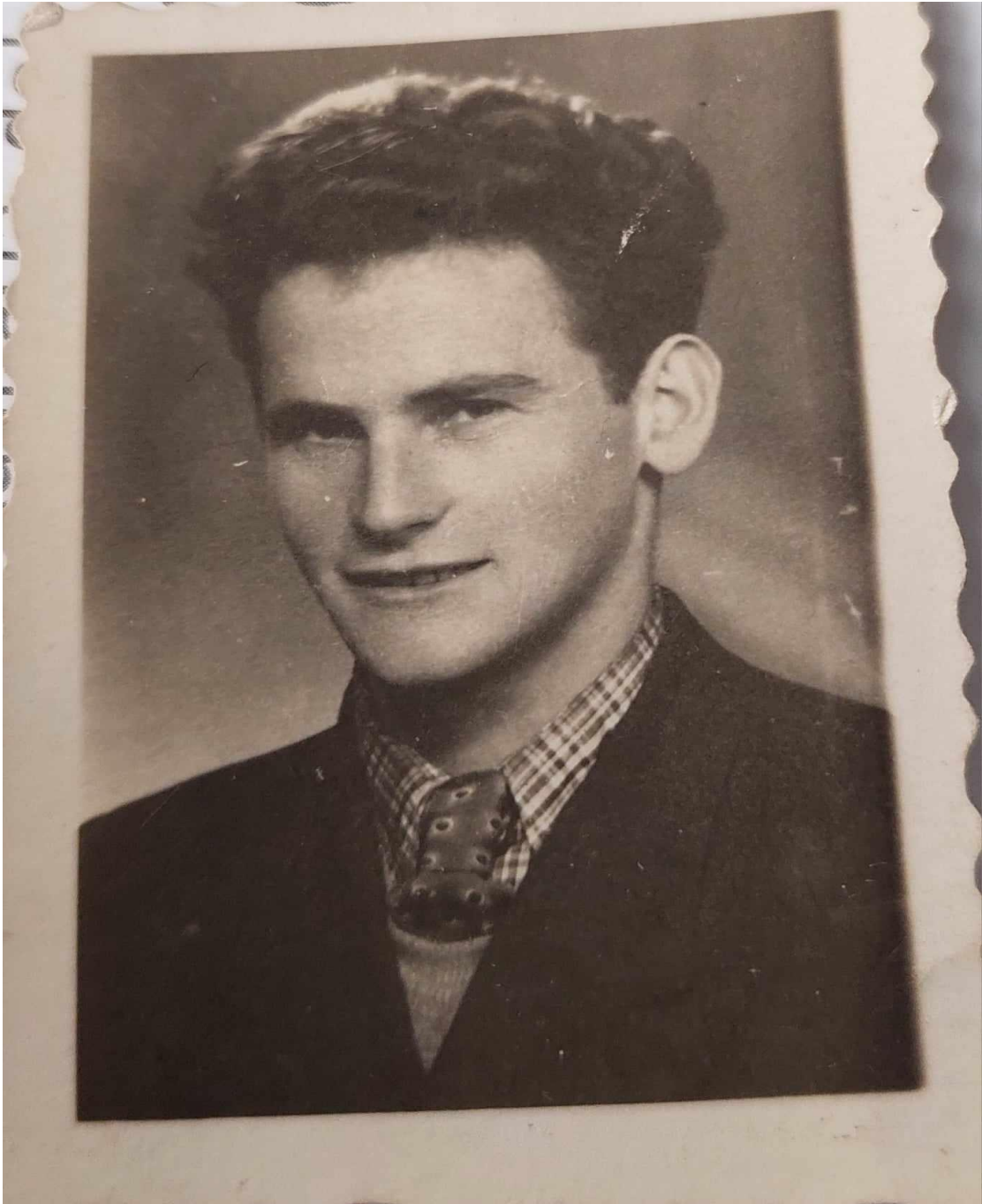
W wyniku zdrady jałtańskiej (4- 11.02.1945) przez koalicjantów premiera Wielkiej Brytanii premiera Winstona Churchilla i prezydenta USA Franklina Roosevelta zostaliśmy zmuszeni 12 marca 1946 roku opuścić strony ojczyste i udać się na ziemie odzyskane. Wyjechaliśmy z dworca kolejowego Persenkówa we Lwowie w wagonie towarowym. Było nas 4 rodziny z małymi dziećmi i do tego inwentarz żywy (6 krów), a na dworze śnieg i mróz. Można sobie to wyobrazić... Jechaliśmy 6 tygodni. Ruski wywozili z Niemiec wszystko, dlatego tak długo. Tylko, że oni jechali w drugą stronę. Zachorowałem na jaglicę. To taka zaraza. Pod powiekami tworzą się pęcherzyki. Po drodze dosiadły się jeszcze wszy, na które nie było rady. Wreszcie dojechaliśmy w okolice Głogowa do jakiegoś dworu, a wkoło same ruiny, jakaś buda. Nie było co robić. Przyjechał po nas szwagier ojca Knap Marcin. Był wójtem w gminie. On uciekł za Niemca i później sprowadził się do Jabłówka (gmina Szubin). Po paru dniach pojechaliśmy do Jabłówka. Tam też skończyłem 3 klasę. Wujek lubił sobie popić i mama mówiła, że tutaj nie będziemy. Jesienią przeprowadziliśmy się do Kornelina pow. Szubin. Jak mieszkalem w Sokolnikach, to bardzo podobali mi się harcerze. Zawsze chciałem nim zostać. Tu, w 1946 roku wstąpiłem do ZHP. Drużynowym był Zenon Jackowiak. Prowadził to w szkole w Rudach. Ponieważ w Kornelinie była tylko szkoła 4 klasowa, więc 5,6 i 7 klasę skończyłem w Rynarzewie pow. Szubin. W 1950 roku ukończyłem podstawówkę w Rynarzewie.



Pradziadek Stasiu (daty nie pamięta)

W roku 1950 uczęszczałem do klasy 7 w Rynarzewie i byłem członkiem samorządu klasowego i wspólnie z koleżankami i kolegami zorganizowaliśmy przerwanie lekcji w środę popielcową i udaliśmy się z całą szkołą do kościoła na mszę świętą. Za nami przyszli nauczyciele. To samo powtórzyliśmy 3 maja 1950 roku. Poinformowałem moich kolegów o istnieniu ZMAK Janka Łabiocha, Janka Szmyta z Annowa oraz Tadeusza Cebulę i Zygmunta Nowaka z Kornelina.

W kwietniu 1950 roku moi koledzy wstąpili do organizacji i złożyli przysięgę. Po ukończeniu szkoły podstawowej, we wrześniu 1950 roku, po wcześniejszym zdaniu egzaminów byłem uczniem Technikum Elektryczno- Mechanicznego w Bydgoszczy na ul. Św. Trójcy 37. 6 czerwca 1952 roku edukacja moja kończy się na drugiej klasie, ponieważ złodziej Krzycki Wiesław z Gdańska zdradził.



Stanisław Jackiewicz 1950r.

Zostałem aresztowany przez Wojskowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Bydgoszczy za przynależność do ZMAK. W czasie przesłuchań byłem bity przez oprawców z UB. Próbowali mnie również załamać psychicznie. Miałem obiecywane, że zrobią wszystko, żebym zgnął w więzieniu. Moi rodzice

dopiero po 3 miesiącach dowiedzieli się, gdzie jestem. Po roku śledztwa w Pow. UBP w Szubinie zostałem skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Bydgoszczy na 6 lat więzienia i przepadek mienia (którego nie posiadałem) oraz pozbawiony praw publicznych i honorowych na 2 lata wyrokiem z dnia 30 maja 1953r. Amnestia z 1952 roku zmniejszyła mi karę do 3 lat więzienia. Jako więzień pracowałem przymusowo w kopalni węgla kamiennego w Wesolej II (w piątek, świątek i niedziele). Była to kopalnia mokra. Wystarczyło tylko zjechać na poziom 230m, a nie było na mnie suchej nitki. Zimą 1953/ 1954r. było mroźno, a do szatni mieliśmy około 200 m. Po dojściu do szatni ubrania na nas były tak zmarznięte, że było trudno je zdjąć. A po zdjęciu- stały. Technika w kopalni była już tak rozwinięta, że wycofano konie, a zastąpiono je więźniami. W kopalni pracowałem rok. Wykonując 130% normy, miałem liczone 1 dzień pracy za dwa dni odsiadki. Po roku pracy, a w sumie po dwóch latach i trzech miesiącach odbywania kary wyszedłem na „wolność” (5.09.1954r.).

Zaszczytną służbę wojskową pełniłem już 10.10.1954r. pozbawiony praw publicznych i honorowych. Była to praca przymusowa w piątek, świątek i niedzielę – odmowa pracy to 3 lata więzienia. Po odbyciu kary z powrotem do wojska i praca w kopalni aż do odbycia służby. Okres rekrucki odbywałem w „Kopalni Rozbark” w Bytomiu. Po przysiędze w „Kopalni Śląsk” w Chropaczowie. W sumie przepracowałem 2 lata i dwa miesiące.

22 grudnia 1956 r. odzyskałem „wolność”. Miałem wiele trudności ze znalezieniem pracy, ponieważ byłem bez zawodu i z takim życiorysem. Wreszcie wiosną 1957r. zostałem przyjęty do pracy w tartaku „Lasy Polskie” w Bydgoszczy. Pod koniec 1957 r. przeniostałem się do IMNG na Placu Weysenhoffa w Bydgoszczy jako robotnik. Od 20.11.1957r. pracowałem w Przedsiębiorstwie Elektryfikacji Rolnictwa na ul. Smolińskiej. Tam pracowałem jako pomocnik elektromontera do 19.07.1961r. Od 7.08. do 10.10. 1961 r. pracowałem w MPK. Następnym przedsiębiorstwem było BPBM „Pomorze”. Tam pracowałem od 13.10.1961r. do 30.04.1963r. jako elektryk konserwator w bazie sprzętu. W 1963r. w BPBM „Pomorze” zdałem egzamin i zdobyłem tytuł mistrza elektromontera. Od maja 1963r. pracowałem w Zakładach Piwowarskich w Szubinie jako elektryk- konserwator.

W 1960 roku ożeniłem się z Rozalią Witkowską ze Skotnik (pow. wrzesiński). W 1961 r. urodziła nam się córka Jolanta, w 1962r. syn Mirosław, a w 1963r. córka Elżbieta, która po 21 miesiącach życia zmarła nagle. Mój ojciec

Tomasz zmarł w kwietniu 1979r., matka Franciszka w 1991 roku.

Od lutego 1962r. mieszkamy w Szubinie, a od 1967 r. na swoim przy ul. (.). Do Ochotniczej Straży Pożarnej w Szubinie wstąpiłem w marcu 1968 roku. Od 1973 roku byłem Komendantem Gminnym.

Od 1981r. do 30.04.1990r. byłem radnym bezpartyjnym RNMiG. Za udział w akcjach ratowniczo- gaśniczych i pracy społecznej zostałem odznaczony przez Zarząd Główny Związku OSP: 1972r. , 1978r., 1973r. medalami zaśluzgi, a przez Radę Państwa w 1978r. 1984r. Medalem 40-lecia PRL-u i 1985r. Złotym Krzyżem Zasług. Do Związku RPŻG wstąpiłem 1.01.1992r. w Bydgoszczy. Natomiast członkiem Zarządu Okręgowego byłem od 1994roku. Byłem założycielem Koła ZRPŻG w Szubinie, obejmującego teren byłego powiatu szubińskiego i części żnińskiego, tj. gminy: Barcin, Kcynia, Łabiszyn, Szubin. W 1994r. nasze koło liczyło 54 członków. 26.03.2003r. odbyło się wspólne zebranie naszego koła i członków naszego związku z Nakła i okolicy, którzy wyrazili zgodę na przynależność do koła w Szubinie, tj. 19 członków i 7 wdów. W okresie działalności koło zmarło 31 naszych kolegów. W 2006r. nasze koło liczyło 40 (27) członków w tym 13 wdów. Nasi członkowie uczestniczyli w uroczystościach państwowych, patriotycznych i oczywiście kościelnych. Braliśmy również udział w świętach naszej patronki Św. Barbary w uroczystej mszy za naszych zmarłych kolegów oraz z prośbą o błogosławieństwo Boże dla żyjących kolegów i naszych rodzin. W miarę naszych możliwości pomagaliśmy naszym kolegom w załatwianiu spraw związkowych i służyliśmy radą i pomocą w życiu codziennym. Za działalność w ZRPŻG Komendant WKU w Inowrocławiu mianował mnie na stopień sierżanta w 1996r., natomiast za działalność na rzecz Niepodległego Bytu Państwa Polskiego Prezydent RP (z lewicy) mianował mnie na stopień podporucznika Wojska Polskiego w 2001r., a Minister Obrony Narodowej (z lewicy) rozkazem 122 z 5.02.2003r. na stopień porucznika Wojska Polskiego. Prezes Rady Ministrów RP w 2003r. przyznał mi Patent Weterana Walk o Niepodległość.

Niedługo, jeśli Bóg da, skończę 90 lat. Jestem bogatym człowiekiem. Doczekałem się czworga wnucząt: Ewy (ur. 1985), Magdaleny (ur. 1986), Iwony (ur. 1986) i Macieja (ur. 1992) oraz sześciorga prawnucząt: Alberta (ur. 2011), Weroniki (ur. 2013), Juliana (ur. 2014), Olgi (ur. 2015), Zofii (ur. 2016), Maksymiliana (ur. 2021) oraz Heleny (ur. 2023). Mam dom, w którym jest ciepło. Mam co jeść. Na podwórku chodzi trochę kurek i jeden kot. Mimo wielu chorób, które w większości są skutkiem mojego niełatwego życia, żyję...”



Na zdjęciu ja z pradziadkiem Stasiem (maj 2023).

Historię spisał: Albert Stachowiak